

# TANNA-WULKAN I RELIGIA

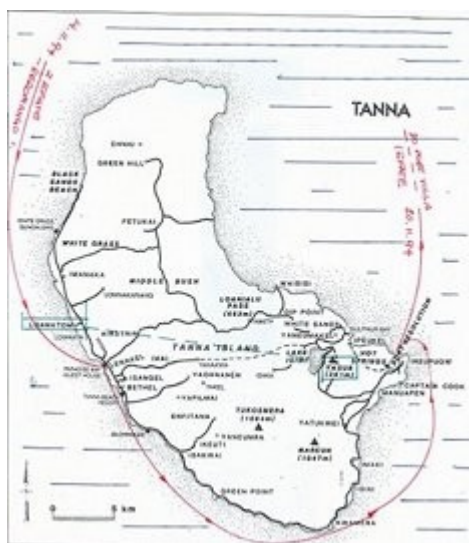
**Mariusz P. Marciniak**

Wyspa na archipelagu VANUATU ,słynna z kilku powodów: -wulkanu YASOUR (361 m npm)

-swoistej religii "Jon Frum Cargo Cult"

-a także najmocniejszej kawy w regionie.

Ze względu na położenie, bardziej na południe, ma klimat chłodniejszy od EFATE. Jest jedną z ludniejszych wysp Vanuatu. Tanna przez półtora wieku leżała na uboczu nie nawiedzana przez misjonarzy, handlarzy i urzędników. W jakimś sensie pozostała dziewicza.



φ 19° 31'  
λ 169° 29'  
PORT RESOLUTION, TANNA

15 LISTOPADA 1994 r.

Stoimy w zatoce Port Resolution, nazwanej tak przez Capt. Cooka na cześć swojego statku , osłonięci przylądkiem jego imienia. Osłona jest iluzoryczna bo dużej wprost w wejście do zatoki. Jacht przewala się z burty na burtę, trzymany dwoma kotwicami. To końcówka pierwszego w tym sezonie cyklonu "Vania". Całkiem adekwatne imię, bo dawał nam przez ostatnie dni po kościach jak prawdziwy „rusek”. Zebraliśmy pod wiatr i fale 120 mil przez prawie tydzień!

Bardzo niemiłe "stanie". Jest dość płytko i wchodząca z oceanu fala, łamie się targając jachtem jak grochem w końskim uchu podczas galopu. Było to kiedyś przyzwoite miejsce schronienia, ale pewnej nocy w 1878 roku, wulkan YASUR potrząsnął wyspą i dno w zatoce w kilka sekund podniosło się o 20 metrów. Pewnie dokuczli mu odwiedzający tą zapomnianą wysepkę obcy i przypomniał kto tu panuje. Od tamtej pory, zatoka dostępna jest tylko dla małych jednostek, co walenie przyczyniło się do pozostawienia tubylców w spokoju.

Idąc tu z Port Villa, gdzie musieliśmy dokonać odprawy wejściowej na Vanuatu, sponiewierani umierającym już na szczęście "Vanią", zatrzymaliśmy się przy wiosce LENAHEL w Paradise Bay, gdzie jest dobre kotwicowisko, a poza tym była to zawietrzna strona wyspy. Chcieliśmy odpocząć i poczelebrować 50-te urodziny Kapitana. Jaki to był poważny błąd, przekonaliśmy się następnego rana. Cały jacht pokryty był czarnym nalotem, przyniesionym przez wiatr z wulkanu. „Vania” nawet tutaj nas dopadł. Wyglądało to, strasznie-CZARNA ROZPACZ. Ale okazało się, że popiół jest jeszcze ciepły i suchy jak pieprz, więc nie przyklejał się do żagli i pokładu łatwo dając się usunąć. Mimo to "salwowaliśmy się pośpieszną ucieczką" w rozkołysane morze. I w tym pocyklonowym zafalowaniu i resztkach oddechu ( 6-7 $\zeta$ B) zdychającego ruska, okrążaliśmy przylądek Kwamera i Capt. Cooka, by wcisnąć się „po palcu” do Port Resolution.

Przez cały dzień przyglądaliśmy się tylko okolicy, o lądowaniu trudno marzyć. Wokół magmowe skały i kipieli. Poza tym pilnujemy jachtu, bo kotłowisko przyboju jest tuż za



rufą. Silnik gotowy do startu, żeby pomóc kotwicom, gdyby zaczęło nas „wlec”. Trzymają na szczęście w rozpadlinach zastygłej lawy jak zamurwane.

Dopiero potem okazało się jak ciężko pracowały. Wyciągając łańcuchy, kotwiczne szkle



(metalowa  
złączka)  
musieliśmy  
odpiłować-

powykręcane były jak makaron. Jedna z nich służy mi do tej pory jako przycisk do papierów na biurku, a może także jako "memento mori" Wszystkie te trudy podjeliśmy z chęcią zobaczenia Yasura w akcji, napicia się kawy i poznania wyznawców "Cargo Cult". Zacznę więc zgodnie z logiką kolejności od:

#### THE JON CARGO CULT

*Tannizejczycy zadeklarowali przejście na prezbiterianizm w początkowych latach dwudziestego stulecia. Na początku II Wojny Światowej odrodził się kult prastarych wierzeń, kiedy duch święty nawiedził Green Point w porze zachodu słońca. W 1942 roku, wielu tubylców z Tanny zostało powołanych przez Amerykanów do budowy baz wojskowych na Efate. Tam poznali wspaniałych półbogów, którzy przebyli morze przywożąc bogactwa niezmierzone w postaci maszyn, materiałów nieznanymi i wielkie ilości jedzenia. To był JON FROM AMERICA. Jako symbol tych dóbr niezmiernych przyjęli czerwony krzyż z sanitarek wojskowych. Do dzisiaj wioski na północ od wulkanu Yasur i wokół, budują "kapliczki" ze znakiem czerwonego krzyża otoczone płótkami z żerdzi i patyków jako wyraz i wyznanie wiary. Kapłani nazywani są "Messengers" i nauczają, że kiedyś wrócą statki załadowane bogactwem dla dobrych ludzi z Tanny. Zamiast kościołów budują ze starych puszek i drutów wieże, które imitować mają anteny radiowe widziane na Efate, i za pomocą których Jon Frum (John "from" America) ma do wiernych pewnego dnia przemówić. Wiara nakazuje im żyć w krańcowym ubóstwie, z paradowaniem nago włącznie. Zakazuje wszelkiej pracy, każe niszczyć uprawy i trzodę. Całe dobro ma dotrzeć za pomocą Jona Frum, vel From jako "Second Coming". Brytyjskie władze bezbożnie prześladowały wyznawców, osadzając ich w więzieniach, jednak nie wytępil prawdziwej wiary do dzisiaj.\* /*

Być może, wydaje się to bardzo naiwne i śmieszne, ale głęboka wiara tych ludzi w podobne rzeczy przestaje być śmieszna, kiedy tak jak na Erromango (tez Vanuatu) pastor (?) baptystów- David pokazywał mi nie tak jeszcze stare groby misjonarzy zabitych i zjedzonych:

-John Williams i James Harris w 1861

-George i Ellen Gordon w 1861

-James Gordon, który przybył na poszukiwania brata Georga, w 1872 \*\*/

Może ich wiary i wyznania wydają się nam szaleńcze lub infantylne, ale zabijać potrafią byle czym z zadziwiającą wprawą i upodobaniem.

I tak podbudowani moralnie szykujemy się z Andrzejem na podboj YASURA. Reszta, jak zwykle siedzi na jachcie. Ja idę w nadzieji, że tubylcy lubią chude mięso (Andrzej jest raczej łykowaty), natomiast on twierdzi, że nie są aż tacy głupi i wolą tłuszciesze. Zupełnie nie rozumię o co mu chodzi, że to niby mnie się tyczy ? Dostali by pewnie zgagi.

Pogoda poprawia się na tyle, że wybieramy się z Jurkiem (Kapitan) na ląd. Ryzykując rozbicie bączka, sztrandujemy \*\*\*/ na kawałku piasku tuż przed stromym podejściem do wioski. Winduję sapiące cielsko na ten klif i zamieram ze zdumienia. Spodziewałem się biednego siedliska, a to kurort! Jest kilka bungalowów w tubylczym stylu, jest świetlica i są PRYSZNICE. Nie czekając, aż ten sen malowany pryśnie, odwracam się na pięcie i rwę na dół powalając omal Jurka (kapitana), który zabezpieczał bączek. Zdażył dać głos:

-Jezu, już nas dopadli!

-Kochany, tam są prysznice, najprawdziwsze!

Pojął w lot. Wracamy na jacht po majdan do ablucji i z powrotem do wioski. To jest jak niespodziewanie odkryta "żyła dżemu"! Można lać na siebie nieskończone ilości słodkiej wody, zimnej co prawda, ale w tropiku ciepła jest zboczeniem. Tylko ten, kto nie kąpał się przez kilka tygodni na słonym z natury rzeczycie oceanie, może docenić jaka to rozkosz. Podejrzewam, że ani mój towarzysz, ani ja nie zamienilibyśmy tego kawałka tryskającej wodą rury, na najpiękniejsze dziewczyny tej osady. No, może nie w chwili kiedy doznawaliśmy błogości kąpieli.

Woda jest jednak cenna także na wyspach, więc ograniczamy się do przyzwoitej kąpieli i zaczynamy rozglądać się za jej właścicielem – wody, nie wyspy. Znajduje się sam, bo czeka na nas przed "łazienką". Całkiem biały Nowozelandczyk David, który pracuje dla rządu Vanuatu, starając się zorganizować bazę, która ma przyciągnąć turystów z ich pieniędzmi na Tanne. Jak na razie wygląda to bardzo dobrze-nas już sobie kupił, więc nie wspominamy, że z forszą to u nas raczej krucho, zresztą nie pytał o to zadowolony, że ma białych do pogadania i wypicia zimnego piwa. O wyspy moje rajskie!! Życie jest piękne! Jak by tego było mało, w powilonie klubowym wymieniamy nasze wyczytane książki na też wyczytane, lecz nie przez nas. Pozostawiły je załogi innych jachtów, które zawitały tu przed nami. Taki miły morski zwyczaj, z którego korzystamy pełnymi garściami.

David obznajomił nas wstępnie z obyczajami panującymi tutaj. Wskazówka podstawowa-jak krajowiec chce coś, to mu to daj, oczywiście w pewnych granicach, nie będę mu smarował musztardą własnej szynki, bo mam jeszcze parę wacht w życiu do odsiedzenia na niej. Generalnie jest jednak bezpiecznie. Nakazuje dużą ostrożność w podchodzeniu do krateru wulkanu. Co jakiś czas giną tam ludzie, którzy myślą, że to Yellowstone Park. Wulkan słyszymy cały czas, ale go nie widać, przesłonięty jest chmurami. Jedynie pomruki i lekka vibracja przypomina, że jest, tam za plecami. Zresztą jeśli nie zmiotł tej wysepki z powierzchni oceanu przez te parę milionów lat, to musiałbym mieć wyjątkowego pecha, żeby to zrobił teraz.

Żegnamy się z naszym dobroczyńcą i wracamy na jacht, bo nad ranem wybieramy się z Andrzejem na Yasoura.



Wstajemy przed świtem podekscytowani czekającym nas dniem, bierzemy po litrowej butelce wody zaprawionej sokiem lemonki i po garści musli. Jesteśmy już na tyle obyci z dżunglą, że resztę, jak papaye albo zielone kwaśne ananasy lub mango, znajdziemy sami na półdzikich poletkach wyznawców Cargo Kultu.

Dobijamy ostrożnie do płachetki piasku, gdzie bezpiecznie możemy pozostawić bączek. Jurek za pomocą Davida dostanie się po niego rano.

Właśnie, David- pierwsza niespodzianka tego dnia. Czeka na nas poza przybojem, pod palmami:

-Słuchajcie, muszę odwiedzić wieś na północ od wulkanu.

Umówmy się tak, że około 4-5 godz. po południu będę czekał na was swoim pick-upem przy trakcie. Powinniście mieć dość czasu na zejście z wulkanu. Potem zabiorę was do wsi i razem wrócimy .OK?

Ostatnie instrukcje i dwie butelki zimnego piwa (5:30 rano!!). Objasnia nam dokładnie drogę do krateru i miejsce gdzie mamy się spotkać.

Ruszamy w drogę. Na razie jest to spacer po lesie, idziemy traktem – koleinami wyjeżdżonymi przez Davida samochodem, jedynym na wyspie. Po kilkunastu minutach Andrzej mówi:

-Myślę, że on (David) wymyślił ten niezbędny wyjazd. Trochę się pewnie martwi o nas i chce nam pokazać...

-Wiem, też tak myślę. Jak to pięknie, że są jeszcze tacy ludzie na Świecie.

-Przecież głównie po to pływamy, żeby ich poznawać...

-Jak to dobrze posłuchać, jak ktoś mądrze mówi...

Dalej idziemy w ciszy, oszczędzając siły, ale głównie zatopieni we własnych myślach. Otaczający nas krajobraz skłania do tego. Wschodzące słońce wyciska wilgoć z dżunglii, jej opary pomieszane z jedynym na Świecie zapachem tropikalnego lasu i przerażającą ciszą...

Mała dygresja:

Zawsze dżungla, obojętnie czy w nocy, czy w dzień, kojarzyła mi się z feerią dźwięków- pomruków, trzasków, postękiwań i oczywiście porykiwań. Nic błędniejszego, przynajmniej w moich dotychczasowych doświadczeniach. Dżungla to C I S Z A. Będąc na Erromango, wybrałem się samotnie (w ramach higieny psychicznej po długim pływaniu w nielicznym towarzystwie- potrzeba odizolowania, samotności) do dzicy lasu tropikalnego. To co zaskoczyło mnie i wprowadziło w zdumienie, to dudniaca w uszach c i s z a, szelest spadających kropel skroplonej wilgoci, trzask łamanej gałązki pod butem, własny oddech... narastające poczucie zagrożenia. Odwykliśmy od słuchania ciszy, a to CISZA GRA. Cisza to narastający niepokój, początek paniki. Spędziłem tam dwa samotne dni, a więc i jedną noc- dotarło tam do mnie, że jednak cisza to spokój- przyczajony, gotowy do reakcji, ale jednak spokój. Całe moje dotychczasowe wyobrażenia były z Hollywoodu rodem.

Wracając do marszu na Yasura i rzeczywistości. Doszliśmy do miejsca, gdzie według opisu Davida powinniśmy zejść z utartej drogi i zacząć się wspinać na stok wulkanu. I teraz dociera do mnie, że w tej ciszy był on jednak z nami. Tak szybko przystosowaliśmy się do otoczenia, że nie słyszymy już pomruków i stęknąć ziemi pod nogami.

Rzeczywistość dopada nas natomiast pod postacią dwóch obwiesiów wypełgających z "przydrożnych" zarośli. Nauczyliśmy się już nie zestrzaszać zbyt szybko.

-Dokąd nasi bracia zmierzają?

Nie było to aż tak poetycko, bo w pigin-english główne słowo to "bilongs", czyli należy mi się, do mnie należy (oraz sto innych dowolnych znaczeń, np. -"nam bilong mi"...-mam na imię..., lub "bilong baim"-na sprzedaż), ale generalnie NALEŻY MI SIĘ! Zaraz się to potwierdziło.

-My? Pooglądać wulkan przyszliśmy.

-Bardzo nam miło was powitać. Za oglądanie naszego wulkanu należy się (BILONGS) 2000 vatu.

US \$1 = Vt 111, czyli ok \$ 18 od osoby – tak na "good morning" chłopcy sobie życzą. Że też musieliśmy trafić na zaprzeczców wiary Jona Fruma

-Królowie złoci, tu jest po 2 (dwa) baksy i po podkoszulku (bardzo używanym). Jest OK?

-To zaszczyt dla nas być Waszymi przyjaciółmi!

Podarli bosymi piętami po tych korzeniach jak łanie. Rozglądamy się wokół, ani bramy, ani kamieni granicznych, a jednak rezerwat przyrody jak w Wielkim Kanionie. Nalepki na zderzak też nie dali, o pokwitowaniu nie wspomnę. Śmiejemy się, bo każdy orze jak może, a wykpiiliśmy się tanio robiąc im frajdę, że nabrali naiwnych biały.

- Andrzej, czy nie myślisz, że robimy za Jona "From"

-A jeśli nawet, to dostąpiliśmy beatyfikacji z pominięciem Papierza!

- Z historii pamiętam, że byli tacy co płacili więcej za wyniesienie na ołtarze, a wulkanu i tak nie oglądali...

-No to jak, mamy zapłacone, to idziemy go oglądać.

Górka niby nie jest zbyt wysoka – 361 m n.p.m., ale słońce było już wysoko i tropiczek rażno budził się do życia, a i do "paleniska" było blisko. Stromo zaczyna się robić i bardzo

gorąco, łykamy wodę i metry dzielące nas do krateru. Po drodze często stajemy, zaintrygowani wyziewami pary wydobywającej się prosto z ziemi lub pęknięć skały. Robimy zdjęcia i w drogę. W pewnym momencie dostrzegam zwalisko magmy, gdzie z szerokiej jamy wydobywa się strumyczek pary. Zaciekawiony wkładam ostrożnie rękę, żeby zobaczyć jak tam ciepło. Nawet bardzo, więc gmeram tam chví z ręką do łokcia zbierając wilgoć ze scian rozpadliny. Próbuje językiem, spodziewam, się niewiadomo czemu, że będzie to słone. Nie jest, jest jak polizana główka zapalki- siarka. Odchodzimy, i w tym momencie, z tego miejsca gdzie trzymałem rękę, wybucha gejzer pary, która z rykiem dwustu lokomotyw i czterystu atletów rozdziera nam uszy. Stajemy jak zamurowani- zwłaszcza moja ręka. O głupoto, głębsza niż ocean. Czy musisz badać wulkan organoleptycznie?

Po następnej godzinie z groszkiem, docieramy do krateru. „Żeby mój język giętki mógł opisać to co wymyśli głowa”. Boże, musiałeś mieć kiepski dzień kiedy tworzyłeś ten kawałek swojego królestwa...

Krater o średnicy około kilometra, obsypany szaro-czarnym piargiem usypiska zapadał się w dół stromym, prawie pionowym stokiem na głębokość 200-300 metrów. W dole kipiało 6-7 osobnych kraterów, pulsujących na zmianę, lawą z dymem, bulgocząc jak przypalająca się grochówka, by wybuchnąć rykiem pary, lawy i glutami rozpalonej do białości płynnej skały o wielkości sporych wagonów tramwajowych.



NA KRATERZE WULKANU FASOUA

Bez żadnego ostrzeżenia, na zmianę z kolejnych „podkraterów”, irracjonalna siła wysłała te „wagony” na wysokość kilkuset metrów i zaczyna się to walić prosto na nasze głowy. Dosłownie! Rozbiegamy się z Andrzejem jak dwuosobowe stado kur w poszukiwaniu



ERUPCJA WULKANU FASOUA

bezpiecznego miejsca. A to leci na nasze głowy! Spada jednak daleko za nami. Po napasieniu wzroku kilkoma zestawami takich erupcji, robimy trochę zdjęć i uciekamy z tego piekła, nie dziwiąc się, że giną tu podobni do nas ciekawosze.

Znowu milczymy schodząc na dół- mamy o czym milczeć. Byliśmy tam może pół godziny, a wiemy że ten widok będzie zawsze z nami, w nas. Jesteśmy obsypani czarnym, gorącym pumeksem, w gorącej dżungli, na końcu Świata.

-O czym myślałeś?

-Że jak on mógł zamienić Port Resolution z portu w wannę, w kilka sekund, to czemu nie teraz nas...

-Ja też...

-Wiesz, myślę, że to myto co zapłaciliśmy na dole, to na koszt naszego pochówku było,

-No to mają czysty zysk, przeżyliśmy.

-Co, żalujesz im.

-Też coś...Nieba bym im przychylił żeby zarobili,

-No to mają utarg. Szczęść im Jon F.

W umowionym miejscu czeka David i 300 tubylców, jeśli tyle może się zmieścić w toyocie, a jeśli tyle się zmieściło, to co to znaczy dwie osoby więcej?

Epilog.

Siedzimy na ziemi pod olbrzymim „walking tree”. Rozdzierająco smutna melodia wioskowego chóru szczybie oczy, za plecami huk przyboju na rafie atolu, w górze, ponad nami, gardłowe ryki wulkanu, a noc bezksiężycowa, tylko od czasu do czasu rozdzierana pomarańczowym flesztym kolejnej erupcji. Gdyby nagle rozległ się ryk dinozaura, uznałbym to jako rzecz zupełnie naturalną. Teoria względności?

Są ludzie, którzy pytają mnie czemu żegluję, czemu nie uprawiam ogródka i rodziny...?  
Co ciągnie mnie w świat...

... chcę, tak jak w podobnej do tej chwili, uwięzić w sobie taką ilość tej niesamowitej atmosfery, by starczyło mi na długo, na zawsze. Ciarki chodzą po plecach, a myśli dziwne po głowie. W taką noc wszystko jest prawdopodobne i możliwe...Wtapiam się w nią i staram się chłonać ją jak wyschnięta na pustyni gąbka, która wpadła do studni...Żegluję po Świecie w poszukiwaniu takich chwil, takiego BYCIA...



.....

\*/ Za "South Pacific Handbook by David Styaney,6-th edition-maj 1996.Tłumaczenie autora.

\*\*/ Tamże

\*\*\*/ Sztrandować- umyślnie osadzić jednostkę pływającą na brzegu, plaży